

PARA

1918-2018 NR 5

LUBLIN

INSPIRUJE NAS WOLNOŚĆ

27 III 2018

TEATRNN.PL/PARA

OŚRODEK BRAMA GRODZKA
TEATR NN.PL

LUBLIN 1918-2018
INSPIRUJE NAS WOLNOŚĆ

2

O czym mówi śnieg?
Panorama
sprzed 144 lat

4

Jak nowe
technologie pomogły
w emancypacji

6

YouTube
to nie szkoła.
Rozmowa
z Pauliną Mikułą

7

Nowy komiks.
Nowe odkrycie.
Nowy cyrk

K O B I E T Y

ŚMIAŁEJ WYOBRAŹNI

100 lat! – to mogą być dobre urodzinowe życzenia dla kogoś, kogo dobrze nie znamy. Albo też reakcja na kichnięcie. W historii ludzkości 100 lat to wcale nie tak długo. Wydaje się, że taką jednostkę czasu łatwo jest objąć wyobraźnią. A jednak, gdy uświadomię sobie, że gdybym urodziła się sto lat temu, większość praw, które dzisiaj uznaję za oczywiste, wtedy traktowałabym najprawdopodobniej za szczyt odwagi i wywrotowości, to ogarnia mnie dziwne wzruszenie i wdzięczność dla ludzi, którzy swoje marzenia przekuli w moje oczywistości.

Na przykład prawa wyborcze kobiet. W 1918 roku dla wielu środowisk były po prostu szkodliwą fanaberią. Sam Józef Piłsudski nie był przekonany do tego pomysłu i dość długo przetrzymywał na deszczu i zimnie stukające parasolkami w jego szyby emancypantki. Pomogła wtedy jego żona – Aleksandra, która wierzyła w sprawę kobiecą i sama czuła się feministką. To ona miała ostatecznie przekonać Piłsudskiego, że prawa wyborcze kobietom po prostu się należą i nie ma co powoływać się na stereotypy o rzekomym konserwatyzmie i politycznej niedojrzałości płci żeńskiej.

JEDNE Z PIERWSZYCH W EUROPIE

Kobiety w polityce to musiał być przełom, ale nikt do końca nie zdawał sobie sprawy, jakiego on będzie rodzaju. Lęk przed zmianą to przecież bardzo ludzka emocja, o czym powinny wiedzieć wszystkie wizjonerki i wizjonerzy. Nawet Ignacy Daszyński, socjalista, premier Tymczasowego Rządu Ludowego w Lublinie, który uczynił Irenę Kosmowską wiceministrą w swoim gabinecie, zastanawiał się nad konsekwencjami masowego udziału kobiet w życiu publicznym. Pisał na przykład: „Nie umiem nawet sobie wyobrazić tego, co będzie z życiem ludzkości, jeżeli – połowa jej – kobiety wejdą naprawdę w to życie z wolą świadomą, z siłą odpowiadającą nie tylko swej liczbie, lecz i walorom kobiecym, silniejszym pod pewnym względem od męskich”.

Lęki przed zmianą mogą ustąpić jedynie śmiałej wyobraźni. Nie można jej odmówić polskim emancy-



Maturzystki '39 [ze zbiorów M.Dąbkowskiej]

pankom, które z odwagą i uporem walczyły o prawo do pełnego udziału w życiu społecznym i politycznym. Chciały „całego życia” we wszystkich sferach i były gotowe o to walczyć. „Walka” jest tu ważnym słowem, bo też i nie było tak, że niespodziewanie grupa mężczyzn zorientowała się u progu XX wieku, że jest odrobinę niesprawiedliwe, że połowa ludzkości nie może uczestniczyć w podejmowaniu ważnych dla siebie decyzji. Wysiłek zmiany świata w tym zakresie to wysiłek kobiet, które dążyły do uznania ich podmiotowości, otwarcia możliwości studiowania, wybierania prestiżo-

wych zawodów i wreszcie możliwości głosowania i bycia wybieraną w wyborach. Jedną z najbardziej aktywnych feministek działających w tym obszarze była Kazimiera Bujwidowa, która już w 1907 roku pisała:

„Nie aniołem, nie dziewczynką, nie żoną, nie matką winna być kobieta, ale przede wszystkim człowiekiem”.

Po długich intelektualnych, emocjonalnych i fizycznych wysiłkach polskich emancypantek udało się nieco zmienić w społeczeństwie obraz „anioła strząśniętego domowego ogniska”, któremu nie przystoi branie odpowiedzialności za sferę publiczną. Trzeba też po-

wiedzieć, że kobiety przez cały okres zaborów skutecznie udowodniały fałszywość męskich wizji tego rodzaju.

W końcu nastąpiła trwała zmiana – 28 listopada 1918 roku na mocy dekretu Józefa Piłsudskiego Polki otrzymały jako jedne z pierwszych w Europie czynne i bierne prawa wyborcze. Po wyborach w styczniu 1919 roku do sejmu trafiło osiem posłanek. Było to ok. dwóch procent ogólnej liczby składu tej izby. Gabriela Balicka, Jadwiga Dziubińska, Irena Kosmowska, Maria Moczyłowska, Zofia Moraczewska, Anna Piasecka, Zofia Sokolnicka i Franciszka Wilczkowiakowa od razu zajęły się kwestiami związanymi ze służbą zdrowia, edukacją, przeciwdziałaniem biedzie i polityką prorodziną. Co ciekawe, mimo że reprezentowały różne ugrupowania, potrafiły budować koalicje w sprawach, które uznawały za społecznie istotne. Podczas pierwszej debaty na temat ustroju państwa, Moczyłowska w trakcie swojego wystąpienia zaznaczyła, że nie reprezentuje swojego klubu, ale wszystkie kobiety posiadające w ławach sejmowych. Posłanki pierwszej kadencji sejmu II RP były doskonale wykształcone (lepiej niż większość zasiadających w sejmie mężczyzn), w ich przemówieniach nie było pustosłowia, dominował konkret i kompetencja. Mimo to, zarzucano im, że obniżają poziom prac z tego jedynie powodu, że są kobietami.

„ANIOŁ LEWY”

Jedną z bardziej aktywnych posłanek nie tylko na arenie krajowej, ale także w polityce zagranicznej była Irena Kosmowska, polityczka przez lata związana z Lublinem, wybierana do sejmu właśnie z tego okręgu. Postać Kosmowskiej jest ciekawa z co najmniej kilku innych powodów. Wychowana w rodzinie o szlacheckich korzeniach i intelektualnym zacięciu mogła bez trudu stać się „panną z dobrego domu”

O czym mówi śnieg? Panorama sprzed 144 lat



HISTORIA

Zdjęcie ze zbiorów Samorządowej Fototeki Konserwatorskiej Urzędu Miasta Lublin.

W tym numerze prezentujemy artykuł o kobietach-fotografkach działających w Lublinie w XIX i XX wieku. To zdjęcie jest dopełnieniem tego tekstu.

Jedną z najważniejszych kobiet w historii lubelskiej fotografii była Wanda Chicińska (po mężu Placzkowska), prowadząca od początku lat 70. XIX wieku zakład fotograficzny w Hotelu Europejskim. Była jedną z pierwszych fotografujących osób w Lublinie, które zdecydowały się na robienie zdjęć w przestrzeni miejskiej. W 1875 roku opublikowała „Album fotograficzny widoków Lublina” – zestaw pięciu zeszytów, zawierających po cztery zdjęcia formatu 15,3 x 20,5 cm. Jak podawała ówczesna prasa „zakład fotograficzny pani Chicińskiej w Lublinie wspólnie z istniejącą tamże księgarnią Arcta, ogłosił prospekt na wydawnictwo albumu fotograficznego Lublina, złożonego z 20 widoków fotograficznych, piękniejszych i pamiętkowe znaczenie mających miejscowości [tj. miejsc – przyp. M.F.] Lublina wraz z objaśniającym takowe tekstem”. Album

miał składać się z zeszytów wychodzących co miesiąc, począwszy od 1 maja 1875 roku. Cena albumu wynosiła 6 rubli. Dla porównania: tyle kosztowała wówczas półroczna prenumerata gazety codziennej.

Niestety, nie wiemy, czy do naszych czasów przetrwał choć jeden kompletny egzemplarz albumu. Na szczęście zachowały się pojedyncze fotografie, czasem tylko w postaci fotokopii, przechowywane w archiwach, bibliotekach i zbiorach prywatnych.

To jedno ze zdjęć z tego albumu. Fotografia podpisana „Lublin od strony Lubartowskiej”, przedstawia widok ze wzgórza Czwartek, nieopodal traktu lubartowskiego. Na pierwszym planie widzimy ulicę Świętego Mikołaja (obecnie ul. Szkolna) przy skrzyżowaniu z ulicą Ruską. Widoczna gęsta zabudowa może być zaskakująca, zwłaszcza w porównaniu z dzisiejszą pustką w tym miejscu. Obecnie jedynym większym obiektem jest hala targowa przy ulicy Ruskiej – w miejscu kamienicy widocznej po prawej. Dalej widzimy część dzielnicy żydowskiej, nad którą góruje zwarta zabudowa Starego Miasta

z charakterystycznymi bryłami klasztoru Dominikanów, katedry i Wieży Trynitarzkiej.

Zdjęcie jest wyjątkowe z kilku powodów. To prawdopodobnie pierwsza, a przynajmniej najstarsza zachowana, fotograficzna panorama Lublina. To zapewne także najstarsze zdjęcie pokazujące wygląd nieistniejącej już obecnie dzielnicy żydowskiej wokół Zamku, pomiędzy Starym Miastem i wzgórzem Czwartek. Ciekawy jest także czas powstania fotografii. Śnieg widoczny na dachach budynków jednoznacznie określa porę roku – być może jest to pierwsze zdjęcie pokazujące Lublin zimą.

Fotografia została wykonana najprawdopodobniej w 1874 roku, zatem mamy przed sobą widok Lublina sprzed 144 lat. Warto uświadomić sobie, że następną fotograficzną panoramą miasta, także ze wzgórza Czwartek, powstała dopiero ponad ćwierć wieku później. Co ciekawe, jej autorką również była kobieta – Wiktoria Sierocińska. Ale to już temat na kolejne zdjęcie z historią.

Marcin Fedorowicz

ZDARZYŁO SIĘ Czy czytelnicy wybrali milicjantkę?

Po raz pierwszy w 1973 roku w plebiscycie „Kuriera Lubelskiego” czytelnicy wybrali Lubliniankę Roku, czyli najważniejszą w Lublinie kobietę w 1972 roku. Honorowy tytuł otrzymała Janina Jarzynowa, kierowniczka Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki przy Krakowskim Przedmieściu 20. Tytuł przyznawany jest do dzisiaj. Przypomnijmy bohaterki edycji plebiscytu z lat 1973-1989.

- 1974** prof. dr Helena Mysakowska z Akademii Medycznej, wybitna organizatorka leczenia przeciwigruźliczego.
- 1975** Krystyna Nyrka, dyrektorka Zespołu Szkół Zawodowych.
- 1976** prof. dr Maria Wysokińska z Kliniki Stomatologii Akademii Medycznej.
- 1977** Krystyna Gruza, robotnica z Fabryki Samochodów Ciężarowych.
- 1978** lekarz medycyny Elżbieta Spoz-Nejman, kierowniczka rejonowej przychodni zdrowia przy ul. Odlewniczej.
- 1979** Teresa Szlachta, prowadząca rodzinny dom dziecka.
- 1980** Irena Szychowa, wieloletnia dyrektorka Wojewódzkiego Domu Kultury, przewodnicząca Komitetu Osiedlowego Samorządu Mieszkańców na Starym Mieście.
- 1986** Barbara Słoboda, porucznik MO, inspektor z Izby Dziecka Rejonowego Urzędu Spraw Wewnętrznych.
- 1987** Maria Urban-Mieszkowska, artystka malarka.
- 1988** Eugenia Zaleska, nauczycielka historii i łaciny w LO im. J. Zamoyskiego.
- 1989** Zofia Prajsnar (s. Ascelina), zakonnica i pielęgniarka nieuleczalnie chorych z Domu Pomocy Społecznej przy ul. Głowackiego.

Niewątpliwie były zasługi profesor Heleny Mysakowskiej w walce z chorobą, której epidemie trawiły Lublin. Stąd płynąca popularność jej i innych później wyróżnionych lekarek. Lubelska służba zdrowia zawsze była w cenie. Ale niektóre z pozostałych „wyborów” czytelników „Kuriera” zastanawiają: czy na pewno był to ich wybór, czy też np. wybór kontrolowany? Wyróżniona Krystyna Gruza otrzymała tytuł za 1976 rok, rok, w którym to strajki w Radomiu, Ursusie i Płocku wstrząsnęły PRL i doprowadziły do powstania Komitetu Obrony Robotników oraz Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Czy czytelnicy wybrali na zamówienie władz, oczekujących promocji wzoru do naśladowania – spokojnego, oddanego zakładowi pracownika?

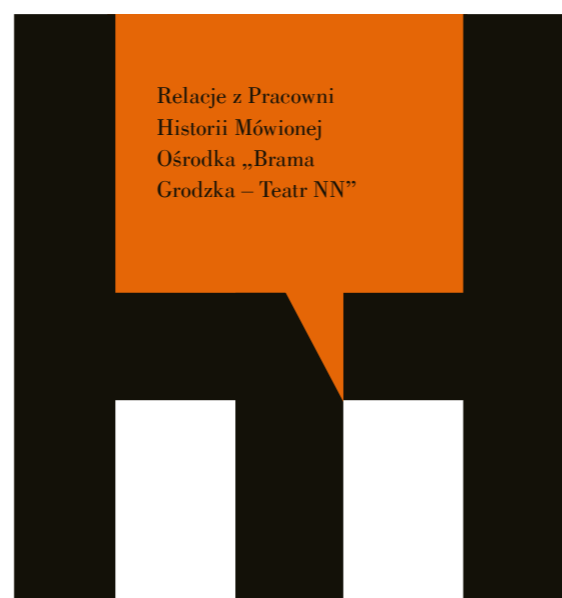
Bardziej kuriozalny wydaje się „wybór” czytelników z 1986 roku. Żeby nie napisać, że to chyba odznaczenie dla MO (dla młodszych czytelników: Milicja Obywatelska, potoczne rozwinięcie: nr 1 Mogą Obić, nr 2 bijące serce partii) za pałowanie opozycji i straszenie części społeczeństwa. Władze miasta, Urząd Miasta, były jednym z organizatorów plebiscytu, i redakcja, z której wcześniej wyrzucono co bardziej krnąbrnych redaktorów, chyba chciała ocieplić obraz MO w społeczeństwie.

Lukasz Kijek

* Plebiscyt nie odbywał się w latach 1980-1985 (Solidarność 1980-1981; stan wojenny 1981-1983 i próba powrotu do normalności 1984-1985)



Lublin od strony Lubartowskiej. Fot. Wanda Chicińska, ok. 1874 r.



Relacje z Pracowni Historii Mówionej Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN”

OKRES MIĘDZYWOJENNY HISTORIA MÓWIONA

[Bary mleczne] to było zjawisko, za którym tęsknię. Wspominam je z tęskną w oku. Wtedy uznawane były za coś pospolitego i taniego. To były bary dla wszystkich, dla ludzi mniej zamożnych. Można tam było zjeść pyzy, kopytka, kartofle z sosem, kaszę gryczaną, wypić zsiadłe mleko bądź jakąś ciekawą zupę. Było wiadomo, że to wszystko jest świeże, że to nie są przechowywane przez wiele dni produkty, ponieważ one szły na bieżąco. To były

duże przeważnie bary z dużą ilością stołów, krzeseł, z aluminiowymi sztucami i niewyszukanymi, pospolitymi talerzami, ale – pachniało tam dosyć swojsko.

Dorota Cichočka, ur. 1966

W sklepach nie było takiego wyboru, jak obecnie. [Musiałymy sobie radzić]. Nauczylismy się farbować tkaniny. Wykorzystywaliśmy zwykłe, taniutkie materiały. Farbowałyśmy tetre, która była przeznaczona na pieluchy, bandaże, firanki, niepotrzebne obrusy. Po ufarbowaniu bawełna otrzymywała wspaniałą, intensywny kolor. Kolorystyka była raczej stonowana. Dominowały kolory ziemi i oczywiście czerń. Nie widziało się kolorów żółtych lub pomarańczowych. Trzeba było być niesamowicie odważnym, żeby ubrać się w cytrynowy, pomarańczowy, czy różowy kolor.

Pamiętam swój sylwestrowy szal, który zrobiłam z bandaża. Ufarbowałam go na granatowo. Ze wstążki pasmanteryjnej wyciągnęłam metalowe nitki i powplatałam w granatowy bandaż. Wykończyłam go pomponikami i perełkami z koralu. Robiliśmy też torby ze sznurka do snopowiązałek. Miał taki fajny słomkowy kolor, był lekko kędzierzawy i nazywał się sızal.

Joanna Basznianin, ur. 1959

W kinie „Kosmos” robiliśmy Maratony Sylwestrowe. Ile lat byłam, tyle lat to prowadziłam. Traktowałam widzów uroczysto, tak jak wskazywał na to dzień – sylwester. Trzy filmy wtedy były, już nie dwa. Kawiarnia była czynna. Oczywiście alkoholu ani piwa nie było, ale wiem, że ludzie przynosili szampany. Kabina o dwunastej przerywała film i dwanaście gongów na salę szło. Ludzie składali sobie życzenia na sali i ja po dwunastym uderzeniu ze starszym biletorem wychodziłam na scenę z szampanem, składałam życzenia i życzyłam dobrego roku następnego i wszystkiego, czego pragnę. [Następnie chętnych] zapraszałam na dół. Trzeci film dawałam najsłabszy, bo byli tacy, którzy już tego filmu nie oglądali, tylko siedzieli przy stolikach na dole. Tam szła cicha muzyka.

Danuta Poloncarz, ur. 1934

Gdzie myśmy czas spędzały? Raczej w domach, spotykałyśmy się u kogoś. Był adapter „Bambino”, płyty kupowało się na targu, to były płyty pocztówkowe z nagraniami. Nie pamiętam, co było modne, ale Beatlesi na pewno. Można było nawet na targu nagrać sobie płytę z życzeniami dla kogoś. Nieraz do „Czarnej Łapy” szło się na pączka i kawę. Pamiętam, że pączek z kawą razem kosztował dwa złote, a papierosy „Sporty” – „dziesiątek” – złoty pięćdziesiąt. W czasach studenckich to już chodziło się do „Lublinianki” na piwo, poza tym były organizowane potańcówki – nie dancing, bo nie wieczorem, na dancing to trzeba było być w odpowiednim stroju i na kolację. W „Lubliniance”, była kawiarnia, były na piętrze organizowane tańce i chodziło się na [nie].

Ewa Krojce, ur. 1950

[Na Krakowskim Przedmieściu] była księgarnia, której mi szalenie brakuje. W tej chwili [w tym miejscu] sprzedają telefony komórkowe. Tam pracowali księgarze znający się na książkach. Można było kupić, jeżeli nie od ręki, to spod lady jakieś rarytasy. Oni wiedzieli o książce wszystko. To była frajda przyjść do takiego sklepu, gdzie można było po prostu o książce porozmawiać. Sklep był duży, księgarnia była piękna, z księgarzami z prawdziwego zdarzenia. Dzisiaj to się już nie zdarza.

Wanda Lotter, ur. 1939

Kino „Rialto” było na Starym Mieście. Widać było, że kiedyś to był mały teatr. Dookoła były loże i galerijki na parterze i na piętrze. Straszne było to kino, bo na górnych galerijkach siedziała chuliganeria i pluła na dół różnymi pestkami, nie pestkami i tak dalej, dlatego trzeba było uważać, żeby nie siadać pod [balkonami], tylko raczej na środku, bliżej ekranu.

Helena Szacilowska, ur. 1928

Wyb. Wioletta Wejman

DRZEWORYTYNICZKA

z n i k ą d



Rywka Berger urodziła się gdzieś na lubelskim Podzamczu najprawdopodobniej w ostatniej dekadzie XIX wieku. Jej ojciec i matka handlowali pewnie byle czym, może pracowali w jatkach albo prowadzili niewielki zakład – czy to krawiecki, czy blacharski – wciśnięty najpewniej między kuchnię a łóżka domowników. Była dziewczyną znikąd, jak setki podobnych dziewczyn z Szerokiej, Jatecznej, Zamkowej i Krawieckiej. I taka była również jej sztuka – prosta, szczerą, mówiąca bez ogródek, choć przy tym wszystkim wcale nie wolna od sentymentu. Trudno powiedzieć jakim cudem, ale – jak ustalił prof. Jerzy Malinowski – w 1914 roku studiowała malarstwo w Warszawie, następnie w Krakowie, a w 1918 roku debiutowała jako artystka w Łodzi. Po powrocie do Lublina w latach 30. pracowała w żydowskiej szkole im. I.L. Pereca, gdzie uczyła rysunku. W jej pracach – czasem lepszych, czasem gorszych – widać to, co znała najlepiej: biedną architekturę lubelskiej dzielnicy żydowskiej, nędzę i problemy społeczne oraz postaci z żydowskiej literatury.

W 1933 roku tak pisała o niej stołeczna gazeta w języku jidysz „Wochnszrifit far Literatur, Kunst un Kultur” („Tygodnik Poświęcony Literaturze, Sztuce i Kulturze”): „Kilka dni temu mieliśmy okazję zobaczyć szkicownik Rywki Berger. Zwyczajny, skromny szkicownik z kilkoma pejzażami tuszem i ołówkiem, które miały być pewnie materiałem do większych kompozycji. Z tych kilku szybko i śmiało naszkicowanych rysunków wylania się artystka z wrażliwym okiem i subtelną duszą. W polamanych, zgarbionych domkach i ciasnych lubelskich uliczkach czuje się nie tylko wprawą rękę rysowniczkę i biegłe oko obserwatorki, ale przede wszystkim romantyczny i artystyczny zmysł, który łączy się ze szczególnym umiłowaniem do tego specyficznego lubelskiego stylu. Wszystkie te narysowane przez nią zaułki, powykrzywiane domki z ich charakterystycznymi mansardami i balkonami, nieliczne stare gmachy ze specyficznymi ukształtowanymi odrzwiami



Mit hamer un fakl (Młotem i pochodnią)
U góry po lewej: „Di lezerin” fun I.L. Perec
(„Czytelniczka” I.L. Pereca)

O życiu Rywki Berger nie da się powiedzieć praktycznie niczego. Nie wiadomo dokładnie, kiedy się urodziła, ani kiedy zmarła. Nie ma również pewności, czy nazwisko zawdzięczała mężowi, czy z takim przyszła na świat. Zachowały się po niej natomiast nieliczne prace – odbitki drzeworytów zamknięte na kartach przedwojennych gazet.



A demonstracje (Demonstracja)

i oknami, interesujące pod względem stylu bejs hamidrasze i cmentarze uchwycone z różnych punktów widzenia – to wszystko w tle albo uliczki, albo na stronie bulwaru pełnego połamanych gałęzi... Jest w tym jakiś domowy, romantyczny urok, przy którym rosną serce i dusza.

Rywka Berger doskonale zna te stare, pokurczone domki w ciasnych, poskręcanych uliczkach – jest dzieckiem proletariatu, w takich miejscach się urodziła i wychowała. Swoje najpiękniejsze lata dzieciństwa spędziła właśnie w nich, a jej wrażliwa dusza nasiąkla ich liryczno-romantycznym czarem. Później opuściła Lublin i studiowała na krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych pod kierunkiem znanego polskiego profesora Józefa Mehoffera. Ale również wtedy nie zapomniała o swoim ukochanym domu. W wolnych chwilach, kiedy odkładała farby i pędzel, wracała do starych murów i chwiejnych domków, przenosząc je za pomocą tuszu i ołówka na skromne kartki swojego szkicownika.

Ta młoda artystka maluje także większe obrazy olejne oraz tworzy drzeworyty, w których się ostatnio specjalizuje. Charakterystyczne dla niej są jednak bez wątpienia owe skromne, ale wykonane z talentem szkice starego Lublina”.

Żaden z tych szkiców nie ocalał do naszych czasów. Przepadły także jej obrazy, a drzeworyty znamy jedynie z odbitek drukowanych w prasie. Los samej artystki również nie jest jasny. Podczas okupacji Rywka Berger pracowała dla lubelskiego „Centosu” – Centrali Towarzystw Opieki nad Sierotami Żydowskimi. Zginęła najprawdopodobniej w lubelskim getcie lub podczas jego likwidacji.

Piotr Nazaruk

Wszystkie prezentowane wyżej drzeworyty Rywki Berger publikowane były na przełomie 1933 i 1934 roku na łamach czasopisma „Wochnszrifit far Literatur, Kunst un Kultur” Ze zbiorów Żydowskiego Instytutu Historycznego im. E. Ringelbluma w Warszawie.

Cytat za:
Maks Celer, „Riwke Berger”, „Wochnszrifit far Literatur, Kunst un Kultur”, nr 44, 17 XI 1933, s. 2, przeł. P. Nazaruk.



Tojer fun lubliner geto (Brama w lubelskiej dzielnicy żydowskiej)



A winkl fun jidisz geto in Lublin (Zaulek dzielnicy żydowskiej w Lublinie)



Szajter-hojfns brenen (Stosy płoną)



Arbetloz (Bez pracy)



Revolucja przemysłowa XIX wieku ukształtowała nie tylko nowy ekonomiczny status świata i przyspieszyła ewolucję w branżach przedsiębiorczych i kreatywnych, ale zainicjowała też wiele ciekawych i niespotykanych dotąd zjawisk socjologicznych. Jednym z nich było publiczne dążenie kobiet do zmiany ich pozycji w społeczeństwie zdominowanym przez mężczyzn, walka o prawo do edukacji i równouprawnienia zawodowego.

Fotografia była jedną z tych nowatorskich dziedzin, które dopiero szukały swojego miejsca na mapie zjawisk ekonomicznych, społecznych i artystycznych a jej rozwój przypadł na okres, kiedy do głosu zaczęły dochodzić ruchy kobiece. Pierwszy dagerotyp wykonany przez kobietę pokazano w Warszawie tuż po wynalezieniu dagerotypii, w 1839 roku na wystawie zorganizowanej przez Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności. Fotografia jako dziedzina sztuki wkrótce stała się też biznesem, który wchłonął pierwsze kobiety. Także w Lublinie pierwsze wzmianki, dotyczące rodzimego rynku pracy kobiet, pojawiły się w kontekście działalności fotograficznej.

WYPCHANE PTAKI I SZKLANA ALTANA

Pierwszymi kobietami, które rozpoczęły proces aktywności zawodowej były właścicielki zakładu fotograficznego „Chicińska i Ska” w Hotelu Europejskim: Bronisława Grochowska i Wanda Chicińska. Pochodząca z Warszawy 25-letnia Bronisława, żona Ksawerego Grochowskiego, właściciela atelier, po rozpadzie spółki fotograficznej Twardzicki&Grochowski, zmuszona okolicznościami i nieobecnością męża, podjęła trud prowadzenia zakładu. W 1871 roku zawiązała spółkę z 19-letnią absolwentką Aleksandryjsko-Maryjskiego Instytutu Wychowania Panien, Wandą Chicińską. Dotąd każde nowo powstające atelier w mieście – a było ich jednocześnie dwa, trzy wzbudzało sensację wśród mieszkańców, ale zakład prowadzony przez młode kobiety cieszył się szczególnym zainteresowaniem. Choć fotografii zaliczano do artystycznych zajęć, jakimi mogły się zajmować niewiasty, obecność kobiet w sferze biznesu była niespotykanym dotąd zjawiskiem. W lubelskiej prasie zaczęły pojawiać się artykuły opisujące działalność zakładu, nowoczesne techniki fotograficzne, „aparata” i wykwintne urządzenie. Atelier „Chicińska i Ska” mieściło się w eleganckich, nowoczesnych i komfortowych wnętrzach kilka lat wcześniej oddanego do użytku Hotelu Europejskiego. Składało się z oszklonej altany do robienia zdjęć oraz kilku ze smakiem urządzonych pomieszczeń, wyposażonych w sprzęt

jak nowe technologie pomogły w emancypacji

fotograficzny, wykwintnie umeblowanych i ozdobionych mnóstwem drobiażków, jak obrazy, fotografie, bibeloty czy wypchane ptaki. Działalność fotografek nie ograniczała się do robienia kosztownych portretów wytwornym klientom. Już w 1872 roku zakład fotograficzny ogłosił nabór do, pierwszej w Lublinie, szkoły fotograficznej dla kobiet. „Usiłowania w tym kierunku podjęte w wielu innych krajach – pomimo licznych przeszkód i uprzedzeń, wydały już zbawienne owoce, odrywając setki dziewcząt od igły – niemogącej zapewnić im należytego bytu i dając im w zamian możliwość pracowania w innych zawodach, niepodlegających tak silnej konkurencji” – zachęcała lublinianki Wanda Chicińska.

ASPEKT PRZEDSIĘBIORCZOŚCI

Niestety, mimo dużego zainteresowania oraz zapewnienia 1/3 bezpłatnych miejsc, do szkoły zgłosiły się zaledwie dwie uczennice. Być może Lublin nie od razu był gotowy na rewolucję feministyczną, jednak działalność kobiet na polu zawodowym, która już rozpoczęła się w zakładzie fotograficznym, wkrótce wyszła poza atelier, by za funkcjonować w przestrzeni publicznej, zarezerwowanej dotąd wyłącznie dla mężczyzn.

Dziedziną dominującą w ówczesnej fotografii był portret i tzw. fotografia atelierowa, głównie ze względu na konieczność natychmiastowej obróbki chemicznej w zakładzie. Z czasem fotografowie zaczęli wychodzić w plener z przenośnymi ciemniarniami i całym ciężkim ekwipunkiem „zdejmując” zabytki i „cenniejsze widoki”. Działalność zakładu „Chicińska i Ska” nie kończyła się w atelier. W 1872 roku jego nakładem ukazał się, czwarty w Polsce, Kalendarz Fotograficzny, na którym, obok kalendarium i zminiaturyzowanych portretów aktorów grupy teatralnej Trapszy, umieszczono widoki Lublina. Ich autorką była zapewne Wanda Chicińska, która dwa lata później, po wyjściu Bronisławy Grochowskiej ze spółki, jako pierwsza w Lublinie stworzyła niepowtarzalną kolekcję widoków Lublina, wspomnianą w ówczesnych publikacjach Bolesława Prusa. „Album Lubelskie”

składał się z teczek zawierających kartony z naklejonymi fotografiami i był jednym z pierwszych tego typu wydawnictw w Polsce. Chicińska była jedną z pierwszych kobiet, której fotografie, oprócz niezaprzeczalnych wartości dokumentalnych, naukowych i artystycznych niosły ze sobą jeszcze jeden istotny aspekt – przedsiębiorczość.

WDOWA NOWACZYŃSKA

Za fotografie „odznaczające się dokładnością i pięknym układem” Chicińska otrzymała złoty medal na pierwszej w historii Polski Wystawie Pracy Kobiet w Warszawie w 1877 roku. We wcześniej już wskazywana była jako przykład rzeczywistego samostanowienia, a jej spektakularna kariera stała się dla lublinianek przykładem godnym naśladowania.

Fotografistki rozpoczęły proces aktywizacji zawodowej kobiet i nowy okres w historii lubelskiej fotografii. Po Grochowskiej i Chicińskiej kolejną kobietą, która już rok po założeniu spółki „Chicińska i Ska” poprowadziła samodzielnie zakład fotograficzny, była lublinianka, Maria Nowaczyńska, wdowa po zmarłym na gruźlicę fotografie Aleksandrze Nowaczyńskim. Atelier „M. Nowaczyńska” mieściło się przy Krakowskim Przedmieściu, w tzw. domu pokapucyńskim, naprzeciwko pomnika Unii Lubelskiej. Choć zmuszona okolicznościami, Maria Nowaczyńska swojej kariery fotograficznej nie traktowała przypadkowo. Rozwijała się, podróżowała, wiedzając wystawy fotograficzne i zaopatrując atelier w nowości. Prasa lubelska zachęcała do odwiedzania atrakcyjnego zakładu, dodając, że i młoda wdowa – kierowniczka atelier „nie sprawi wstępu”. Kiedy po powtórny zamążpójściu Nowaczyńska wyjechała do Warszawy, jeszcze przez kilkanaście lat prowadziła zakład fotograficzny przy Nowym Świecie. Ona także, wzorem Wandy Chicińskiej, w 1890 roku planowała otworzyć szkołę fotograficzną dla kobiet.

Kiedy Nowaczyńska opuszczała Lublin, jej atelier w 1877 roku odkupiła Wiktoria Sierocińska, kolejna początkująca fotografka i kobieta w świecie lubelskiego biznesu. To jedna z najciekawszych postaci fotografii lubelskiej, prowadząca działalność przez kilkadziesiąt lat. Także atelier Wandy Chicińskiej, która w 1884 roku postanowiła wyjechać z Lublina, przejęła kobieta. Zakładem przy Krakowskim Przedmieściu 165 zdecydowała się pokierować Władysława, siostra Wandy, stając się kolejną kobietą w świecie lubelskiej fotografii. Jej życiorys, dotąd nieznan, jest niezwykle barwny. Po rozpoczęciu kariery fotograficznej Władysława wyszła za mąż i jeszcze tego samego roku została wdową. Po tragedii także i ona zdecydowała się opuścić Lublin, a kiedy okazała się utalentowaną śpiewaczką, pod pseudonimem rozpoczęła karierę na deskach Teatru Wielkiego we Lwowie. Kiedy kilka lat później przerwała ją tragiczna śmierć, prasa opisywała tłumy zrozpaczonych wielbiciele talentu śpiewaczki obecne na pogrzebie.

Choć zmagające się z przeciwnościami losu, zmuszone do konfrontacji z męską konkurencją, pierwsze lubelskie fotografki stały się dla innych lublinianek przykładem możliwości drzemących w fotografii. Nic dziwnego, że w ich ślady poszły kolejne odważne kobiety, zachęcane także ewolucją w fotografii – wynalezieniem „momentalnej” metody bromosrebrowo-żelatynowej, opartej na znacznie uproszczonej technice, która do Lublina dotarła w 1882 roku za sprawą lubelskiego fotografa Stepanowa.



Portret kobiety – awers i rewers fotografii z atelier Zofii Miłaszewskiej



Portret kobiety – awers (po lewej u góry) i rewers fotografii z atelier Wandy Chicińskiej



Portret kobiety – awers i rewers fotografii z atelier Marii Nowaczyńskiej

CENNI AMATORZY

Po 1900 roku w Lublinie w olbrzymim tempie zaczęły powstawać zakłady fotograficzne, konkurencja znacznie wzrosła, a proporcjonalny udział kobiet zaczął spadać. Nie bez znaczenia jest jednak fakt, że pierwsze szlaki zostały przearte, a wraz ze wzrostem poziomu świadomości społecznej na pracę kobiet zaczęły otwierać się i inne dziedziny.

Chociaż aktywność kobiet w fotografii zaczęła słabnąć, zakłady przez nie prowadzone nie zniknęły. W 1903 roku powstał jeden z najbardziej znanych lubelskich zakładów fotograficznych: „Zofia”, przez wiele lat prowadzony przez kobiety. Jego założycielką była spokrewniona ze znakomitym fotografem Ludwikiem Radzikowskim, Zofia Miłaszewska. W atelier powstawały okolicznościowe fotografie dokumentujące ważne wydarzenia, jak portret pierwszych posłów guberni lubelskiej wykonany w 1906 roku. Zakład funkcjonował jeszcze w okresie międzywojennym, prowadzony przez inną Zofię: Jostową. Zofia Jost na krótko przed śmiercią znanego w Lublinie Wiktorina Michelisa została jego żoną, a później spadkobierczynią części ogromnego majątku Michelisów i właścicielką Pałacu Czartoryskich, położonego przy placu Litewskim. Losy obu fotografek nie są znane, a atelier w latach 30. przeszło na własność znanego fotografa, Rocha Samojednego.

Co znamienne, zakład „Zofia” był jednym z pierwszych zakładów reklamujących się już w 1906 roku jako „Chrześcijański zakład fotograficzny”. Miało to związek z rosnącym antysemityzmem i separatyzmem na tle wyznaniowym dotykającym także Lublin, którego połowę ludności w okresie międzywojennym stanowiła ludność żydowska. Lubelska społeczność żydowska reprezentowała raczej klasę średnią i biedotę, fotografowanie było zajęciem kosztownym. Pierwsze żydowskie fotografki pojawiły się stosunkowo późno. Pierwszą Żydówką fotografującą w lubelskiej guberni była zapewne Adela Gancwol, pochodząca ze słynnej rodziny wędrownych fotografów, Gancwółów. W Lublinie pierwsi fotografowie żydowscy zaczęli otwierać zakłady już w latach 60. XIX w., ale pierwsze fotografujące kobiety pojawiły się dopiero w okresie międzywojennym. Jedną z nich była Ryfka Wajngarten, prowadząca zakład fotograficzny „Fotostyl” przy ulicy Zamojskiej, po której, tak jak po większości lubelskich Żydów, nie zachowała się prawie żadna spuścizna.

W XX wieku wiele aspektów egzystencji uległo zmianie. Zawód fotografa przestał być zajęciem elitarnym, uproszczenie techniki sprawiło że fotografowaniem zarabkowało coraz więcej osób, coraz mniej przygotowanych. W kontrze do pogarszającej się, sztampowej, rzemieślniczej fotografii zakładowej, powstał ruch fotografii artystycznej, którego cennymi inicjatorami byli fotografowie amatorzy.

Już w XIX wieku pojawił się w Lublinie fotograficzny ruch amatorski. Jedyną znaną kobietą fotografującą wówczas amatorsko była Maria Baniewicz. W okresie międzywojennym z prężnie działającego ruchu amatorskiego narodziło się Lubelskie

Towarzystwo Fotograficzne. Jego założycielami byli zarówno fotografowie amatorzy, jak i zawodowcy, uprawiający tzw. fotografię artystyczną. Co ciekawe – ani w ruchu amatorskim międzywojnia, ani wśród członków Lubelskiego Towarzystwa Fotograficznego nie znalazła się żadna kobieta. Wśród lubelskiej bohemy dwudziestolecia międzywojennego pojawiały się malarki, jednak fotografia artystyczna stała się domeną mężczyzn.

W okresie międzywojennym w Lublinie działało jednocześnie nawet kilkanaście zakładów fotograficznych należących do kobiet. Oprócz wymienionego atelier „Zofia”, powstał zakład przy ulicy Foksal (dzisiaj 1 Maja) należący do Bronisławy Bagińskiej, żony Cezarego Bagińskiego, który prowadził atelier przy tej samej ulicy. Przy Krakowskim Przedmieściu przez cały międzywojenny okres działał zakład fotograficzny „Sztuka”. Jego kierowniczką była druga żona Ludwika Hartwiga, Maria, która tuż przed II wojną otworzyła samodzielną działalność i prowadziła atelier ABC przy ulicy Świętoduskiej. Sztuka fotograficzna nie była obca także pierwszej żonie Ludwika, która pomagała w pracach fotograficznych, a podczas jego kilkuletniej nieobecności prowadziła samodzielnie jego zakład „Foto-Ars” przy ulicy Namieśnikowskiej 19.

CO ZOSTAŁO NAM DO DZIŚ?

Wynalezienie małoobrazkowego aparatu fotograficznego Leica i wzrost konkurencji spowodowały w okresie międzywojennym powstanie nowego zjawiska tzw. leikarzy, fotografów, którzy wychodzili z aparatami na ulicę w pobliżu swojego atelier i fotografowali ludzi zienacka, proponując im kupienie zdjęcia wywołanego niemalże natychmiast. Leikarze zwykle nie sygnowali swoich odbitek, ale wśród fotografów robiących tzw. ulicówki nie było ani jednej kobiety, prowadzącej atelier. Jedynymi znanymi fotografiami Lublina z tamtego okresu autorstwa kobiety są zdjęcia wykonane na zamówienie przez znakomitą polską fotografkę, Zofię Chomętowską.

Wybuch II wojny spowodował zmiany także na rynku usług fotograficznych, funkcjonowało niewiele zakładów – wszystkie prowadzone przez mężczyzn. Po II wojnie światowej w Lublinie zaczęły działać nowe, należące do fotografów skupionych w cechach rzemieślniczych. Jedną z pierwszych zakładów prowadzących w powojennym Lublinie była m.in. Natalia Kanadys, czy uczennica Ludwika Hartwiga, Jadwiga Cichoćka, która prowadziła z powodzeniem zakład fotograficzny przy ulicy Królewskiej. W atelier, odkupionym od Józefa Kanadysa, dziś kontynuuje tradycje fotograficzne córka Jadwigi Cichoćkiej, Renata Sarnowska, jedna z niewielu osób w Polsce wykonująca do dzisiaj fotografie na porcelanie. W czasach PRL działało w Lublinie jeszcze kilka innych zakładów, prowadzonych przez Halinę Molską (1 Maja), Henrykę Kulicz (ul. Zamojska) czy Weronikę Skepską (ul. Lubartowska). Zarejestrowano też zakład prowadzony

JEDNA TRZECIA KADRY KIEROWNICZEJ

W 1888 roku, po zamknięciu atelier Władysławy Chicińskiej, powstał zakład fotograficzny „Kazimiera”, mieszczący się w kamienicy przy ulicy Kapucyńskiej 172. Przetwał zaledwie kilka lat, jego działalność nie była reklamowana w lokalnej prasie, a nazwa atelier pojawia się w opracowaniach niezwykle rzadko. Jednak dotąd nie był znany fakt, że właścicielką zakładu była malarka, Kazimiera Urbańska z domu Von Kienitz, żona znanego lubelskiego malarza Witolda Urbańskiego. Do dzisiaj pozostało niewiele fotografii z tego atelier, ale subtelne, malowane tła, które umieszczano za modelem tworząc wrażenie iluzji pomieszczenia bądź pejzażu, przedstawiają niespotykane w lubelskich atelier widoki, jak morski, niezmacony niczym krajobraz. Po wyjeździe Urbańskich do Warszawy w 1890 roku działalność fotograficzną w atelier odkupionym od Kazimierzy rozpoczęła Paulina Jaworowska. Dotąd niezany był fakt, że fotografka pochodziła ze znanej rodziny Szaniawskich, ani że była ciotką wspomnianej Marii Nowaczyńskiej. Jaworowska otworzyła zakład w wieku 42 lat, a jej wcześniejsza działalność fotograficzna nie jest znana. Wiadomo jednak, że zawodowo zajmowała się też podróżowaniem po miastach lubelskiej guberni fotografując w Nowo-Aleksandrii (Puławy), Iwanogrodzie (Dęblin) i Biłgoraju. Zakład Jaworowskiej przetrwał jedynie cztery lata, ale w 1897 roku, w tym samym miejscu, powstał „Helios”, pierwszy zakład fotograficzny w Lublinie, w którym zatrudniano wyłącznie kobiety. Jego właścicielką była Eliza Zinck, o której nie ma żadnych informacji biograficznych. Także z jej zakładu wychodziły prace wykonane poza atelier, jak chociażby widoki Nałęczowa umieszczone w broszurze pt. „Nałęczów źródło szczawiu żelazistej radioaktywne”.

Obecność fotografistek w przestrzeni publicznej stawała się coraz bardziej widoczna, a na jej firmamencie pojawiały się nowe, interesujące gwiazdy. Kiedy w 1889 roku zmarł właściciel znakomitego zakładu Aleksander Stepanow, przez kilka lat atelier kierowała pracownica atelier, uzdolniona, młoda, panna Zofia Grzybowska, znakomita dokumentalistka Lublina. W latach 1888-1889 wykonała serię fotografii, które ukazały się w prasie ogólnopolskiej i były przez wiele lat reprodukowane w formie pocztówek. Córka lubelskiego lekarza, Zofia Grzybowska wraz z innym współpracownikiem i późniejszym właścicielem zakładu, Stanisławem Zawadzkiem zdobyła mały złoty medal za fotografie wystawione na Wielkiej Wystawie Przemysłowo-Rolniczej w 1901 roku w Lublinie. Na tej samej wystawie duży złoty medal otrzymała szeroka panorama Lublina wykonana ze wzgórz Czwartek, składająca się z czterech połączonych widoków miasta, wykonana w zakładzie Wiktorii Sierocińskiej.

Wiktorina Sierocińska, w której lubelskim i chełmskim atelier kształciło się i pracowało wielu znanych fotografów, takich jak Aleksander Stepanow, Ludwik Radzikowski czy Czesław Dobrzelewski, ale także fotografek, jak Adela Żychowicz, która prowadziła później zakład w Nowo-Aleksandrii (dzisiaj Puławy). Działalność objazdowa Sierocińskiej zaowocowała zainteresowaniem nurtem tzw. chłopomanii i w jej atelier, oprócz fotografii na zamówienie, powstało wiele zdjęć przedstawiających typy ludowe, kobiety przy pracy, czy przedstawicieli niższych warstw społecznych. Przykładem jest znakomity portret lubelskiego żebraka Antoniego Szostaka, który dziś nazwalibyśmy psychologicznym. Sierocińska utrzymywała zakład jeszcze do wybuchu I wojny światowej.

Od czasu otwarcia atelier Chicińskiej i Grochowskiej w Lublinie nieprzerwanie prowadziły zakłady fotograficzne kobiety a ich obecność w branży stanowiła średnio jedną trzecią kadry kierowniczej, co jest wynikiem niespotykanym w żadnej innej przemysłowej dziedzinie.



Portret kobiety – awers i rewers fotografii z atelier Wiktorii Sierocińskiej

przez Antoninę Dobkiewicz, córkę założyciela Lubelskiego Towarzystwa Fotograficznego, Zygmunta Dobkiewicza. Do dzisiaj funkcjonują trzy zakłady z tradycjami, prowadzone przez kobiety – wspomniane atelier Renaty Sarnowskiej, zakład fotograficzny „Zorza” przy ulicy Lubartowskiej i „Foto-Ars” należący do Hanny Grudzień-Dudziak, córki popularnego dawniej w Lublinie fotografa Tymoteusza Grudnia.

O pozycję w świecie fotografii artystycznej lublinianki musiały zabiegać przez kolejnych kilkadziesiąt lat. Dopiero w latach 70. XX wieku pojawiły się pierwsze eksperymentujące fotografki związane z lubelskim środowiskiem artystycznym, takie jak Irena Nawrot, rozpoznawalna dziś na arenie ogólnopolskiej i międzynarodowej. W nurt fotografii ulicznej wpisuje się działalność autorki wielu znakomych fotoreportaży, Doroty Awioro. Chociaż przez ostatnie lata nie zaistniało w lubelskim świecie fotografii zjawisko tak silne, jak w XIX wieku aktywności kobiet, to światłem w tunelu jest dziś twórczość fotografki młodego pokolenia, Marty Zgierskiej, lublinianki zdobywającej właśnie międzynarodową sławę. Jej metafizyczne prace, odległe od chaosu ekspresji współczesnej fotografii, dają nadzieję na narodziny nowej awangardy, której kierunek ponownie wskaże kobieta.

Małgorzata Karwicka



[Wszystkie fotografie na str. 4–5 pochodzą ze zbiorów Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN”]

Panorama Lublina. Fot. Wiktorina Sierocińska, 1901 r.

ROZMOWA Z PAULINĄ MIKUŁĄ „MÓWIĄC INACZEJ”

Słyszę czasami ironiczne komentarze, że co to za sztuka być vlogerem. Przecież wystarczy postawić kamerę i mówić do niej o czymkolwiek. To nieprawda. Prowadzenie kanału wiąże się z ciężką pracą.

Tomasz Kowalewicz: Kilka dni temu nie mogłem wyjść z podziwu, kiedy zobaczyłem, że spotkanie z youtuberem Blowkiem sparaliżowało ruch w jednej z galerii handlowych. Dlaczego świat youtuberów jest tak popularny wśród młodych ludzi?

Paulina Mikuła: Youtuberzy zajęli trochę inną przestrzeń niż osoby znane z mediów tradycyjnych. One nie są tak otwarte na kontakt z widzami. Jeszcze do niedawna nie można było ich nawet poinformować, że podoba się nam ich twórczość. A youtuberzy zbudowali swoją popularność na relacji z odbiorcami. Ktoś kiedyś na konferencji powiedział, że różnica między nami a celebrytami – choć ta nazwa jest dużym uproszczeniem – jest taka, że youtuberzy zostali wybrani w ramach demokratycznych wyborów, a celebrytów wskazały agencje w ramach castingu lub inne osoby z branży. Jakkolwiek ta teoria ma swoje wady, coś w niej jest, bo żaden youtuber – gdy zaczynał – nie miał wielkiej promocji. Popularność zależała właściwie tylko od niego i od tego, czy widzowie zechcą go oglądać. A robią to, bo myślą: „Ty jesteś taki/taka jak ja”.

Widzą w was kumpla...

– Dostaję mnóstwo wiadomości, w których ludzie piszą: „Bardzo chciałabym mieć taką przyjaciółkę”. Moim zdaniem, dzieje się tak dlatego, że na co dzień pokazujemy nieco inne oblicze niż celebryci, którzy często kreują swój wizerunek i nie pokazują tego, kim naprawdę są. Choć powoli się to zmienia.

Za kilka miesięcy minie pięć lat, od kiedy prowadzisz kanał „Mówiąc inaczej” na YouTube. Dziś możesz pochwalić się 339 tysiącami subskrypcji i milionami wyświetleń twoich filmów. Nie miałaś wątpliwości, że język polski nie jest najatrakcyjniejszą dziedziną dla młodych ludzi?

Nie, bo wtedy już powstało kilka fanpage'ów poświęconych poprawnej polszczyźnie. Zaczęły one bardzo szybko rosnąć i po kilku tygodniach działania miały niemal sto tysięcy polubieli. To był dla mnie bodziec. Miałam wrażenie, że jeżeli za chwilę z tym nie ruszę, ktoś zrobi to przede mną.

Wszystko wiesz o języku polskim?

Nie da się wszystkiego wiedzieć...

Czyli kanał na YouTube ma pomagać też sobie w uzupełnianiu braków językowych, chociażby poprzez interakcję z internautami.

Takie było założenie. Opowiadam o różnych zagadnieniach, ale też dostaję informację zwrotną. Niesamowite jest to, jak często widzowie dzielą się swoimi spostrzeżeniami. Oni poszerzają moją wiedzę, ale i niekiedy poprawiają. Kiedyś nagrałam odcinek o kalkach z języka angielskiego, w którym powiedziałam, że „nie ma kalek”, choć poprawna forma to „kalk”. Zostało mi to natychmiast wytknięte. W takich sytuacjach trochę się złościę, głównie na siebie, ale potem dochodzę do wniosku, że to jest jednak super. Ja mogę dzielić się swoją wiedzą, widzowie swoją i dzięki temu wszyscy jesteśmy mądrzejsi.

Nie mam wątpliwości, że przełamalaś stereotyp mówiący o tym, że kobieta może mówić o czymś innym niż kosmetyki albo moda.

Nie dość, że zaczęłam mówić o czymś innym, to zaczęłam jeszcze uczyć moich widzów. Ta narracja była oczywiście tylko żartem. Ale niektórzy uznali, że jest to na serio. Powstawały artykuły, że chcę być następnym Miodkiem albo Bralczykiem i ludzi to denerwowało. Szybko zrozumiałam, że nie warto trzymać się takiego przekazu, bo YouTube to nie szkoła, a ludzie nie siadają przed ekranem w ławce. Zmieniłam narrację, uznając, że o języku polskim po prostu opowiadam i jeśli widzowie chcą coś z tego wziąć, zapraszam do siebie.

Decydując się na taką formę komunikacji chciałaś być gwiazdą wśród vlogerów?

Chciałam dobrze się bawić, a przy tym rozśmieszać ludzi. Chyba się udało, bo już od samego początku wszystko zaczęło szybko rosnąć. To miała być taka odskocznia od pracy, która nie do końca mnie cieszyła. Poza tym zawsze chciałam pracować z kamerą, więc uznałam, że dzięki temu zdobędę doświadczenie. Byłam też wtedy na pierwszym roku studiów doktoranckich i doszłam do wniosku, że przecież codziennie ludzie mają problemy językowe, które trudno rozwiązać. Dobrze więc byłoby stworzyć miejsce, do którego każdy mógłby zaglądnąć i znajdować rozwiązanie.

Tysiące młodych ludzi ogląda kanały w sieci, a część z nich potem sama próbuje odnaleźć się w roli vlogera. Większości to jednak nie wychodzi. Dlaczego?

Bo to nie jest taka prosta sprawa. Słyszę czasami ironiczne komentarze, że co to za sztuka być vlogerem.

Influencer – osoba, która wywiera pewien wpływ na ludzi. Influencer poprzez swoje wybory, wypowiedzi, publikacje oddziałuje na osoby, do których dociera. Może, przykładowo, polecać ulubione produkty, ale również kreować postawy i przekonania. Jej praca polega m.in. na przygotowaniu i opublikowaniu na swoich platformach takich treści (np. teksty, zdjęcia, wideo), które zaprezentują w atrakcyjny sposób określony temat czy produkt.



Paulina Mikuła. Fot. Arlena Witt

Przecież wystarczy postawić kamerę i mówić do niej o czymkolwiek. To nieprawda. Prowadzenie kanału wiąże się z ciężką pracą, ale przede wszystkim liczy się pomysł. Byłam kiedyś na konferencji, na której rozmawiano o pewnym profilu na Instagramie. Chłopak wrzucał cały czas jedno zdjęcie ze swoją uśmiechniętą miną, z tym, że robił je w różnych miejscach. Na tym zbudował wielotysięczną popularność. Wszyscy czekali tylko na jego uśmiechniętą minę w jakiejś scenierii. Wydaje się, że to taki banalny pomysł, ale gdy zapytałam młodych ludzi, czy ktoś z nich pomyślał o utworzeniu takiego profilu, nikt nie podniósł ręki. A przecież każdy ma telefon, czyli rakieta, dzięki której może zrobić zdjęcie, nagrać film i zostać youtuberem, instagramerem albo influencerem. Tylko, że najtrudniej jest wpaść na coś naprawdę dobrego. A nawet jak już się to uda, potrzebna jest cierpliwość. Po pierwszym filmie człowiek nie staje się od razu popularny. Często trzeba opublikować kilka filmów, by w ogóle rozruszać kanał. Ludziom niestety brakuje cierpliwości, zwłaszcza gdy okazuje się, że trzeba włożyć mnóstwo pracy. Jeżeli mają inne obowiązki, takie jak szkoła, czy praca, wtedy muszą poświęcić czas w weekendy, wieczorami, a nawet nocami. Nie należy też liczyć od razu na lecące z nieba pieniądze.

W większości przypadków trzeba też chyba mieć jakąś wiedzę.

Oczywiście, wiedza bardzo się przydaje, ale przede wszystkim trzeba mieć pasję, o której umie się ciekawie opowiadać. Wiele osób zupełnie nie potrafi przekazać tego, czym się interesuje. Warto umieć mówić tak, by inni słuchali nas z otwartą buzią. To najlepszy sygnał, że można stworzyć całkiem popularny kanał. Gdy zostałam studentką polonistyki, byłam tak za-

chwyciona wszystkim, czego się uczyłam, że chciałam się tym z każdym dzielić. Miałam poczucie, że jest coś niesprawiedliwego w tym, że o niektórych rzeczach mogą dowiedzieć się tylko przyszli poloniści. W wolnych chwilach opowiadałam więc o tym, a znajomi mnie słuchali.

A wygląd pomaga w zdobywaniu popularności?

Pomaga, ale i przeszkadza. Od początku mój wygląd budził zainteresowanie. Dużo osób komentowało moją urodę, choć nie do końca to rozumiem, bo gdy porównuję pierwsze filmy z ostatnimi, różnica jest ogromna. Mam wrażenie, że dopiero teraz jakoś wyglądam. Moim zdaniem, miało to związek z faktem, że w tamtym czasie kobiety zajmowały się głównie branżą kosmetyczną. Jeśli już decydowały się na nagrywanie, to najczęściej o kosmetykach. Byłam chyba jedną z pierwszych dziewczyn, która działała w innej branży. Na początku kanał przyciągał wielu mężczyzn (70 proc.). Miałam wrażenie, że ci mężczyźni, a raczej chłopcy, bardzo chcieli zaistnieć na moim kanale, więc wypisywali głupoty. Najczęściej atakowali moją twarz, seksualność oraz piersi. Gdybym była wrażliwsza na tego typu komentarze, pewnie zamknęłabym ten kanał, bo nie dałabym rady. W tym kontekście uroda przeszkadza. Ale z drugiej strony czasami ludzie wchodziłi na mój kanał, bo mówili: „O, jakaś dziewczyna! I do tego niebrzydka”. Zaczynali mnie słuchać, a następnie subskrybować. I tak są ze mną do dziś.

Co trzeba robić, by prowadząc kanał przez prawie pięć lat wciąż utrzymać przy sobie tak dużą liczbę widzów?

Najlepiej iść do przodu i cały czas coś ulepszać – kupić lepszy sprzęt, zorganizować lepsze tło czy nawet lepiej przygotowywać się do odcinków. Jeżeli widz ma

poczucie, że nie stoję w miejscu, zostaje ze mną, żeby być świadkiem tej poprawy. Na początku mówiłam tylko o języku, potem wprowadziłam nowy cykl „Myśląc Inaczej”, który jest zupełnie o czymś innym. W pewnym momencie pojawiły się też wywiady, a z okazji czwartych urodzin przeprowadziłam pierwszy live na swoim kanale. Dają znać moim oglądającym, że cały czas się rozwijam. To powoduje, że oni nadal ze mną są i pojawiają się też nowi, a to cieszy.

Oprócz megapopularnego kanału na YouTube masz też na swoim koncie m.in. książkę „Mówiąc inaczej” i występ w programie telewizyjnym „Bake Off. Ale ciacho” jako jedna z prowadzących. To wszystko jest efektem tego, że kiedyś postanowiłaś zaistnieć w internecie?

Od pięciu lat wszystko, co robię zawodowo, ma związek z kanałem. Cały czas powtarzam, że kanał zmienił moje życie, otworzył mi wiele drzwi i nie wiem, co by było, gdybym nie wpadła na ten szalony pomysł i nie zaczęła nagrywać.

Dla kogo napisałaś książkę? Bo chyba nie dla tych, którzy cię oglądają?

Właśnie dla tych. Ta książka tylko w niewielkiej części pokrywa się z tym, co znajduje się na kanale. Są w niej moje przemyślenia dotyczące języka, o których nigdy nie mówiłam. Jest też opis mojej historii. To była wiedza, którą widzowie chcieli poznać, a ja nie do końca chciałam o tym opowiadać na YouTube. Mam kanał językowy, a nie vlog o mnie. Dobrze się stało, że ta książka się ukazała. Nie ukrywam, że chciałabym już napisać kolejną – bardziej uniwersalną, pozbawioną opisów moich doświadczeń i refleksji.

A nie bałaś się, że idąc do telewizji stracisz wiarygodność?

Bałam się! Nawet napisałam o tym na fanpage'u. Obawiałam się reakcji na to, że za chwilę pojawię się w programie w zupełnie innej roli niż dotychczas. Kiedy opowiadałam o tym znajomym, mówili, że jestem durna. Poprosiłam więc moich widzów, by – jeśli się z tym zgadzają – napisali w komentarzach to samo. I tak też się stało. Część nie mogła się doczekać emisji, ale część też nie rozumiała, dlaczego biorę udział w programie o ciastkach. tłumaczyłam więc, żeby nie patrzyli tylko na te ciastka, ale też na to, co tam robię i jak wiele mi to daje. To była wielka przygoda.

ROZMOWA

Paulina Mikuła

– rocznik 1988, absolwentka filologii polskiej na Uniwersytecie Warszawskim. Autorka kanału „Mówiąc inaczej” na YouTube, gdzie wyjaśnia, jak poprawnie posługiwać się językiem polskim. Subskrybuje go ponad 339 tys. internautów. W 2016 roku wydała debiutancką książkę.



KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE



Plac Litewski, widok od Krakowskiego Przedmieścia. Fot. Zofia Chomętowska, lata 30. XX w. [Kolekcja Zbigniewa Lemiecha]

Plac Litewski sfotografowany przez jedną z najważniejszych fotografek dwudziestolecia międzywojennego Zofię Chomętowską. Urodziła się w 1902 roku w Porochońsku na Polesiu, w arystokratycznej rodzinie książąt Druckich-Lubeckich. Zmarła w 1991 roku w Buenos Aires.

Zdjęcie placu Litewskiego Chomętowska musiała zrobić w połowie lat 30. Na poważnie zaczęła fotografować w 1927 roku. Pierwsze nagrody dostała w 1933 roku, ale największe sukcesy (kontrakt z ministerstwem komunikacji, redakcją gazety „Kobiety w Pracy”) odnosiła po 1936 roku.

PRZYNAJEMY. NASZYM KOLEJNYM TEMATEM MIAŁ BYĆ HIP-HOP, ALE OSTATNIO REDAKCJA STWORZYŁA DLA WAS NUMER MONOGRAFICZNY, WIĘC TEMAT TEN PRZEKŁADAMY.

TYM SPOSOBEM WYSZĘDE NAM NOWY TEMAT:

TEKST: MACIEJ TUORA

RYŚNIKI: MACIEJ PAŁKA

DZIŚ POROZMAWIAMY Z JOANNA RECZEK-SZWED O NOWYM CYRKU.

ZAPRASZAMY!

NOWY! NOWY! NOWY! NOWY! NOWY! NOWY!

KOMIKS!

GYRK

WOW! ... NIE POWINIEM JĘSTEM FOR WRAGENIEM? ... A JAK TO SIĘ ZACZEŁO NA ŚWIECIE?

NOWY CYRK (CIRQUE NOUVEAU) TO MEODY, AUTONOMICZNY GATUNEK SZTUK PERFORMATYWNYCH, WYWODZĄCY SIĘ Z FRANCJI. ŁĄCZY DYSZYPLINY CYRKOWE Z WIELOMA INNYMI DZIEDZINAMI SZTUKI. A ZASADY KTÓRYMI SIĘ KIERUJE, ODPOWIADAJĄ JEGO WIELOGATUNKOWEMU CHARAKTEROWI. SAM TERMIN POWSTAŁ WE FRANCJI W OKRESIE POMIĘDZY LATAMI SIEDEMDZIESIĄTYMI A DZIEWIĘDZIESIĄTYMI XX WIEKU, KIEDY POJAWIŁ SIĘ NOWY NURT, WYRAŹNIE ODRÓŻNIAJĄCY SIĘ OD CYRKU TRADYCYJNEGO. W NIEDEŁUGIM CZASIE OD SWOICH NARODZIN NOWY CYRK PRZYCIĄGNĄŁ UWAGĘ WIDZÓW I TWÓRCÓW, ROZPOCZYNAJĄC ŚWIATOWĄ EKSPANSJĘ.



BYŁAM STUDENTKA GERMANISTYKI I TO W NIEMCZACH TRAFIŁAM NA CYRKA. TO BYŁA PŁONA, DOROŚŁA MIŁOŚĆ. NOWE ODKRYCIE. ROK PÓŹNIEJ POJECHAŁAM NA MOJĄ PERUSIA KONWENCJĘ W BREMEN.



BYŁO MNÓSTWO WARSZTATÓW. ŚWIETNA ATMOSFERA.

WSZYSCY PRZEKONYWALI MNIE DO WYJAZDU NA EUROPEJSKĄ KONWENCJĘ ŻONGLERSKĄ, KTÓRĄ ORGANIZOWANA JEST CO ROKU W INNYM MIEŚCIE. WTEDY ODBYWAŁA SIĘ W NIEMCZACH W KARLSRUHE.



DAŁAM SIĘ SKUSIĆ, MIMO ZE W CZASACH STUDENCKICH DOCHODZIŁA KWESTIA FINANSOWA.

NAMÓWIAŁAM KOLEŻANKĘ I POJECHAŁYŚMY RAZEM. BYŁO JAK W FILMIE ALBO W BAJCE! JAKBY ODKRYŁO SIĘ, ŻE MAGIA ISTNIEJE NAPRAWDĘ, A CAŁE SWOJE DOTYCHCZASOWE ŻYCIE NIE MIAŁO SIĘ O TYM POJĘCIA.



TO BYŁ SZOK! ARTYŚCI, WYSTĘPY, WARSZTATY, TEJMY LUDZI – PAMIĘTAM TO UCZUCIE DO DZIŚ.



MIAŁAM POCZUCIE, ŻE TRZEBA URATOWAĆ ŚWIAT I POWIEDZIEĆ WSZYSTKIM O CYRKU.

JEST WIELE DEFINICJI, CZYM JEST NOWY CYRK. NA TO NIKT NIE ZNALĄZŁ JESZCZE DOBREJ ODPOWIEDZI. UPRASZCZAJĄC, JEST TO NOWE OTWARCIE SZTUKI CYRKOWEJ.



WYKORZYSTUJEMY TEN TERMIN W POLSCE W RÓŻNYCH ASPEKTACH:

KONWENCYJNY, JAKO STYL ŻYCIA. KTOŚ ŻONGLUJE, NIE UTRZYMUJE SIĘ Z TEGO, NIE JEST TO JEGO ZAWÓD. JEST TO FORMA SPĘDZANIA WOLNEGO CZASU, HOBBY.



CYRK W FORMIE EDUKACJI, WYKORZYSTYWANY JAKO ELEMENT PEDAGOGIKI. PRACUJEMY Z RÓŻNYMI GRUPAMI WIEKOWYMI, ABY OSIĄGNĄĆ ROZWÓJ ZARÓWNO FIZYCZNY JAK I SPOŁECZNY CZY PSYCHICZNY.



TRZECI ASPEKT TO SZTUKA CYRKOWA: WYSTĘPY, SPEKTAKLE, ETIUDY.

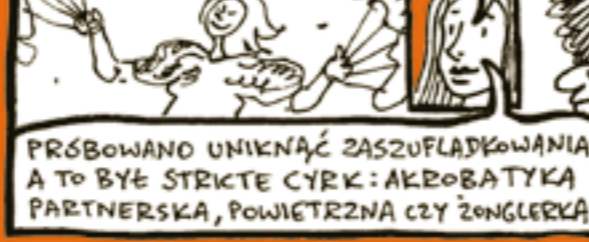


WSZYSTKIE TE TRZY POZIOMO STARAMY SIĘ REALIZOWAĆ.

W POLSCE MUSIMY JESZCZE MÓWIĆ O NOWYM CYRKU, ŻEBY ZACZAĆ JAKOŚ ROZMOWĘ, POSTAWIĆ ZNAK ZAPYTANIA, ABY NIE KOJARZYŁO SIĘ TO Z TABOREM JEŹDZENIEM Z MIASTA DO MIASTA ZE ZWIERZĄTKAMI.



NA POCZĄTKU DUŻO ŚRODOWISK UNIKAŁO NAZYWANIA SIĘ CYRKIEM PRZEZ TĘ GENERALIZACJĘ I SKOJARZENIA. DOŁĄCZANO SIĘ DO INNYCH DZIAŁAŃ NA PRZYKŁAD TEATRU TANCA, RUCHU...



PRÓBOWANO UNIKAĆ ZASUFLADKOWANIA A TO BYŁO STRIKTE CYRK: AKROBATAKA PARTNERSKA, POWIETRZNA CZY ŻONGLERKA.

W LUBLINIE ZACZĘLIŚMY OD ORGANIZOWANIA SZKOLEŃ DLA STUDENTÓW, KTÓRZY MOGĘBY JEŹDZIĆ DO ZIECIAKÓW I UCZYĆ ŻONGLOWANIA. TYMCZASEM POJAWIŁY SIĘ OSOBY, KTÓRE POZA PEDAGOGIKĄ ZACZĘŁY ROBIĆ PRZEDSTAWIENIA.



W TEN SPOSÓB TWORZYŁO SIĘ ŚRODOWISKO – TO BYŁ DŁUGI PROCES.

KIEDY ZACZYNAŁAM NIE ŚNIEŁO MI SIĘ, ŻE TYLE OSIĄGNIEMY.



NA CO DZIEŃ O TYM SIĘ NIE MYŚLI, ALE SĄ MOMENTY, KIEDY SOBIE TO UŚWIADAMIAM.

W LUBLINIE TERAZ JEST ZNACZNIE LEPIEJ. NIE TRZEBA WYWAŻAĆ OTWARTYCH DRZWI. DWUKROTNIE BYLIŚMY ORGANIZATOREM EUROPEJSKIEJ KONWENCJI ŻONGLERSKIEJ.



CORAZ WIĘCEJ LUDZI NA ŚWIECIE WIE O INTENSYWNOŚCI DZIAŁAŃ I MOŻEMY JAKO MIASTO MÓWIĆ O TYM Z PODNIEMIONĄ GŁOWĄ.

CHCIELIBYŚMY W PRZYSZŁOŚCI MIEĆ WŁASNĄ PRZESTRZEŃ, BO AKTUALNIE NIE MAMY STAŁEJ POTRZEBNE SĄ SPECJALNE WARUNKI, MIEJSCE KTÓRE BĘDZIE OTWARTE DLA CHĘTNYCH – BO WIĘKSZOŚĆ CZASU DLA CYRKOWCA TO JEDNAK CODZIENNE TRENINGI.



NASZYM CELEM JEST OTWARCIE SZKOŁY. ZBUDOWANIE MOŻLIWOŚCI STAŁEGO KSZTAŁCENIA. ORGANIZUJEMY NA CO DZIEŃ TZW. MASTER CLASS, ALE CHCEMY MIEĆ OŚRODEK, W KTÓRYM SZKOŁI SIĘ NOWE POKOLENIA CYRKOWCÓW.



NAJWAŻNIEJSZE W NOWYM CYRKU JEST TO, ŻE JEST DLA WSZYSTKICH.



I UCZY ODWAGI.
I OTWARTOŚCI.



JOANNA RECZEK-SZWED – Z WYKSZTAŁCENIA FILOZOF I GERMANISTKA. NALEŻY DO INICJATORÓW ŚRODOWISKA NOWEGO CYRKU W LUBLINIE I JEST JEDNYM Z ZAŁOŻYCIELI FUNDACJI SZTUKMISTRZE, GDZIE PEŁNI ROLĘ PRZESZA ZARZĄDU. BYŁA KOORDYNATORKĄ 35. I 40. EUROPEJSKIEJ KONWENCJI ŻONGLERSKIEJ, NAJWIĘKSZEGO NA ŚWIECIE FESTIWALU SZTUKI NOWEGO CYRKU. ORGANIZUJE WYMIANY MIĘDZYKRAJOWE, A TAKŻE OGÓLNOPOLSKIE I LOKALNE PROJEKTY Z ZAKRESU NOWEGO CYRKU. JEST INICJATORKĄ M.IN. TAKICH WYDARZEŃ JAK VARIETE FUNDACJI SZTUKMISTRZE, WŚCHODNIEUROPEJSKIEGO KONKURSU ETIUD NOWOCYRKOWYCH CYRKULACJE, CZY KONKURSU DLA UZDOLNIONYCH STUDENTÓW LUBELSKICH UCZELNI „OPEN STAGE”. STYPENDYSTKA MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO. PASJONUJE SIĘ ŻONGLERKĄ, WSZECGÓLNOCIE PASSINGIEM ORAZ GRAMI PLANSZOWYMI.

ZRÓB TO SAM! ŻONGLERKA!

NA POCZĄTEK COŚ PROSTEGO. ŻONGLOWANIE JEDNĄ PIĘKĄ.



BIERZEMY PIĘKĘ I PRZERZUCAMY Z RĘKI DO RĘKI.



REKA NIE POWINNA BYĆ NAPIĘTA!



DUŻA ROLA GRANAD-GAR-STEK!
STARAJ SIĘ PRACOWAĆ JEDNYM RYTMEM I PRZYTWICZAJĄC SIĘ DO NIEGO.



ĆWICZENIE TO WYKONUJEMY RZUCAJĄC PIĘKĘ NA RÓŻNEJ WYSOKOŚCI, POD RÓŻNYMI KĄTAMI ORAZ ZMIENIAJĄC SZEROKOŚĆ ODSTĘPU MIĘDZY RĘKAMI. KIEDY JUŻ OPANUJESZ WSZYSTKIE KROKI MOŻESZ PRÓBOWAĆ DODAWAĆ WIĘCEJ PIĘEK!



CO SZUKUJEMY DO KOLEJNEGO NUMERU? RAP!

